

BEWARE
THE
LAKE

STEPHEN
KING

WOREK KOŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pewnego bardzo gorącego dnia w sierpniu 1994 roku żona powiedziała mi, że jedzie do Derry Rite Aid wykupić przedłużoną receptę na inhalator do oczyszczania zatok – takie rzeczy dziś chyba po prostu się kupuje. Napisałem już to, co zamierzałem napisać tamtego dnia, więc powiedziałem, że go dla niej odbiorę. Podziękowała, bo i tak chciała jeszcze kupić rybę w sąsiednim supermarkecie; dwie muchy jednym pacnięciem, takie tam. Zdmuchnęła z dłoni całusa, wyszła, a następnym razem zobaczyłem ją w telewizji. Tu, w Derry, tak się identyfikuje zwłoki. Nie musisz wędrować podziemnym korytarzem wyłożonym zielonymi płytkami, z długimi świetłówkami na suficie, nie patrzysz na nagie ciało wysuwane z chłodni, leżące na noszach z kółkami, tylko wchodzisz do biura z napisem: PRYWATNE na drzwiach, patrzysz na ekran telewizyjny i mówisz: „tak” lub „nie”.

Z naszego domu do Rite Aid i Shopwell jest mniej niż półtora kilometra, są częścią takiego małego, lokalnego centrum handlowego, w którym mieści się jeszcze wypożyczalnia wideo, antykwariat o nazwie Ponieś Słowo (robi dobry biznes na moich starych paperbackach), Radio Shack i Fast Foto. Centrum zbudowano na Milowym Wzgórzu, na skrzyżowaniu Witcham i Jackson.

Zaparkowała przed Blockbuster Video, weszła do apteki, załatwiła sprawy z panem Joem Wyzerem, który w owych czasach był naszym farmaceutą, a potem przeniósł się do Rite Aid w Bangor. Przy kasie wzięła sobie jedną małą czekoladkę piankową – wybrała taką w kształcie myszki. Znalazłem tę myszkę później, w kosme-

tyczce, odwinąłem z papierka i zjadłem. Siedziałem przy kuchennym stole, na blat wysypałem rzeczy z jej czerwonej torebki i było to jak komunia. Kiedy został mi już tylko smak czekolady na języku i w gardle, rozplakałem się. Siedziałem wśród śmieci – chusteczki higieniczne, puderniczka, klucze, miętowe cukierki – i płakałem, zasłaniając dłońmi oczy. Jak dziecko.

W torebce z Rite Aid był inhalator. Kosztował dwanaście dolarów i osiemnaście centów. I jeszcze coś za dwadzieścia dwa pięćdziesiąt. Patrzyłem na to drugie coś, widziałem, ale nie rozumiałem. Byłem zdziwiony, owszem, może lepszym słowem byłoby „zdułmiony”, ale myśl, że Johanna Arlen Noonan prowadziła drugie życie, o którym nie miałem zielonego pojęcia, nie postąpiła mi w głowie. Nie wtedy.

• • •

Jo odeszła od kasy. Wyszła na palące, upalne słońce, zmieniła normalne okulary na przeciwsłoneczne, zrobiła krok, wyszła spod małej markizy apteki (to chyba podpowiada mi moja wyobraźnia, wkraczam w krainę pisarstwa, ale tylko trochę, odrobinę, kilka centymetrów, możecie mi ufać na słowo) i wtedy rozległ się ten charakterystyczny pisk opon zablokowanych kół zwiastujący albo wypadek, albo coś, co tylko cudem się nim nie stało.

Tym razem to jednak był wypadek, jeden z tych, które na głupich skrzyżowaniach równorzędnych zdarzają się chyba raz w tygodniu albo częściej. Toyota z 1989 roku wyjeżdżała z parkingów galerii. Skręcała w lewo w Jackson Street. Za kierownicą siedziała pani Esther Easterling z Barrett's Orchards, miejsce pasażera zajmowała jej przyjaciółka, pani Irene Deorsey, także z Barrett's Orchards. Obie szukały przedtem czegoś w wypożyczalni wideo, ale nic nie znalazły. „Za wiele przemocy”, powiedziała Irene.

Obie panie były papierosowymi wdowami.

Esther nie mogła nie zauważyć pomarańczowej wywrotki Robót Publicznych zjeżdżającej właśnie ze wzgórza. Chociaż zaprzeczyła na policji, zaprzeczyła gazetom, zaprzeczyła nawet mnie, kiedy rozmawiałem z nią jakieś dwa miesiące później, sądzę, że po prostu się nie obejrzała. Jak mawiała moja mama (kolejna papiero-

sowa wdowa): „Dwie najczęściej spotykane starcze dolegliwości to reumatyzm i skleroza. Ich nie da się pociągnąć do odpowiedzialności”.

Za kierownicą wywrotki siedział William Fraker z Old Cape. W dniu śmierci mojej żony pan Fraker miał trzydzieści osiem lat, prowadził bez koszuli i myślał tylko o tym, jak bardzo potrzebuje chłodnego prysznica i zimnego piwa, niekoniecznie w tej kolejności. On i jeszcze trzech ludzi przez osiem godzin łątało asfalt na przedłużeniu Harris Avenue, niedaleko lotniska, gorąca robota w gorący dzień i Bill Fraker przyznał, że jasne, mógł lecieć za szybko, sześćdziesiąt parę przy ograniczeniu do pięćdziesiątki. Bardzo chciał zjechać już na bazę, zdać wywrotkę, przesiąść się do swojego F-150, pick-upa z klimatyzacją. Poza tym hamulce wywrotki, chociaż przeszły przegląd, nie były bynajmniej idealne. Gdy tylko zobaczył wjeżdżającą mu przed nos toyotę, Fraker wcisnął je, ile się dało (wcisnął także klakson), ale było już za późno. Usłyszał pisk opon, tych swoich i tych Esther, która za późno zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, przez chwilę widział jej twarz.

– Z jakiegoś powodu to właśnie było najgorsze – powiedział, kiedy siedzieliśmy na ganku, pijąc piwo, a był już październik i choć słońce świeciło nam w twarze, obaj mieliśmy na sobie swe-try. – Wie pan, jak wysoko siedzi się w tych wywrotkach?

Skinąłem głową.

– No więc chciała mnie zobaczyć, patrzyła w górę, można powiedzieć: zadzierała głowę, słońce świeciło jej w twarz i widziałem, jaka jest stara. Pamiętam, że pomyślałem: O do diabła, jeśli nie zahamuję, to rozprysnie się jak szkło. Ale starzy ludzie są twardzi, przynajmniej większość. Aż się dziwisz. Bo proszę zobaczyć, jak to się skończyło, obie stare damy żyją, a ona...

Umilkł i strasznie się zarumienił, wyglądał jak chłopiec, którego na przerwie wyśmiały dziewczyny, bo zobaczyły, że ma rozpięty rozporek. Komiczne to było, ale gdybym się roześmiał, tylko wprawiłbym go w jeszcze większe zakłopotanie.

– Strasznie mi przykro, panie Noonan. Czasami mówię szybciej, niż myślę, i...

– W porządku – uspokoiłem go. – Najgorsze już za mną.

Kłamałem, ale mogliśmy przynajmniej wrócić do sprawy.

– W każdym razie się zderzyliśmy. Najpierw był huk, potem trzask, to toyota gięła się do środka od strony kierowcy. No i popytało się szkło. Poleciałem na kierownicę, wałęnałem w nią tak mocno, że potem przez dobry tydzień nie mogłem oddychać bez bólu. Siniak mi wyskoczył na piersi, o tu. – Narysował palcem łuk pod obojczykami. – Wałęnałem głową w szybę tak mocno, że aż pękła, ale z tego był tylko drugi, mały, fioletowy siniec... ani odrobiny krwi, nawet głowa mnie nie bolała. Żona mówi, że to przez ten zakuty łeb. Widziałem, jak prowadzącą toyotę starsuszkę, panią Easterling, spycha po desce między siedzenia. Zatrzymaliśmy się wreszcie, szczepieni ze sobą na środku ulicy. Zaraz wyskoczyłem sprawdzić, co z nimi. Proszę mi wierzyć, że spodziewałem się zobaczyć dwa trupy.

Panie z toyoty pozostały przy życiu, nawet nie straciły przytomności, chociaż pani Easterling miała trzy złamane żebra i zwichnięte biodro. Pani Deorsey, siedząca na miejscu pasażera, doznała wstrząśnienia mózgu od uderzenia głową w szybę drzwi, i to wszystko. Jak zwykle piszą w takich przypadkach w „Derry News”: „...została opatrzona w Home Hospital i zwolniona do domu”.

Moja żona, świętej pamięci Johanna Arlen z Malden w Massachusetts, widziała to wszystko z chodnika przed apteką, na którym stanęła na chwilę z torbą przewieszoną przez ramię i torebką z zakupami w ręce. Pewnie jak Bill Fraker musiała pomyśleć sobie, że pasażerowie toyoty albo nie żyją, albo są poważnie ranni. Krak-sie towarzyszył donośny, choć głuchy huk, przetoczył się przez upalne popołudnie jak kula bilardowa toczy się po torze, a trzask szkła ozdobił je niczym porwaną koronką. Dosłownie splątane ze sobą dwa wozy utkwily na środku Jackson, a brudnopomarańczowa ciężarówka górowała nad importowaną zabawką jak wkurzeni rodzice nad przerażonym dzieckiem.

Johanna pobiegła przez parking w stronę ulicy. Nie sama, wokół niej było wielu biegnących, wśród nich także panna Jill Dunbarry, która w chwili wypadku oglądała wystawę Radio Shack. Powiedziała, że chyba wyprzedziła Johannę, w każdym razie była całkiem pewna, że wyprzedzała kobietę w żółtych spodniach, ale

na sto procent to nie pamięta. Pani Easterling wrzeszczała już, że jest ranna, obie są ranne i niech ktoś wreszcie pomoże jej i biednej Irene.

W połowie parkingu, przy rzędzie automatów z gazetami, moja żona upadła. Torebka nie zsunęła się jej z ramienia, ale puściła torbę z zakupami i inhalator do połowy się z niej wysunął. Ta druga rzecz została w środku.

Nikt nie zauważył Johanny leżącej przy automatach z gazetami, uwagę wszystkich przykuwały samochody, krzyczące kobiety i rozszerzająca się kałuża wody zmieszanej z płynem przeciwwymarzającym, wyciekających z pękniętej chłodnicy wywrotki („To benzyna! – krzyczał facet z Fast Foto do każdego, obojętnie, czy go słuchał czy nie. – To benzyna, uważajcie ludzie, żeby nie wybuchła!”). Podejrzewam, że jeden i drugi chętny ratownik mógł nawet nad nią przeskoczyć, zapewne w przekonaniu, że straciła przytomność. Założenie, że tak to wyglądało w dniu, w którym temperatura dobijała trzydziestkiąpiątki na termometrze, nie wydało się tak całkiem nierozsądne.

W sumie na miejsce wypadku dobiegły ze dwa tuziny ludzi z centrum handlowego plus jeszcze ze cztery tuziny ze Strawford Park, gdzie toczył się właśnie mecz baseballu. Podejrzewam, że wszystko, co zazwyczaj można usłyszeć w takiej sytuacji, już się słyszało, a niektóre rzeczy nawet więcej niż raz. Kłębiący się tłum. Ktoś sięga przez zdeformowaną dziurę, jeszcze przed chwilą okno od strony kierowcy, poklepuje Esther po drżącej starczej dłoni. Ludzie rozstępują się chętnie, torując drogę Joemu Wyzerowi; w takich okolicznościach ktokolwiek ma na sobie biały fartuch, automatycznie staje się pięknoscią balu. Z dala słychać sygnał zbliżającej się karetki pogotowia, drżący jak powietrze nad spalarnią.

A przez cały ten czas moja żona leżała na parkingu niezauważona, z torebką ciągle przewieszoną przez ramię (w torebce czeka niezjedzona czekoladka piankowa w kształcie myszki) i torbą z apteki wysuniętą nieco poza zasięg wyciągniętej ręki. To Joe Wyzer, chociaż śpieszył się do apteki po kompres na głowę dla Irene Deorsey, dostrzegł ją pierwszy. I rozpoznał, mimo że leżała twarzą w dół. Rozpoznał ją po rudych włosach, białej bluzce i żół-

tych spodniach. Rozpoznał ją, bo przecież przed niespełna kwadransem była jego klientką.

– Pani Noonan? – Zapomniał o kompresie dla oszołomionej, ale najwyraźniej niezbyt mocno uszkodzonej Irene Deorsey. – Pani Noonan? Pani Noonan, nic pani nie jest?

Już wtedy wiedział, a przynajmniej podejrzewam, że wiedział, choć mogę się oczywiście mylić, że na pewno coś jej jest.

Obrócił moją żonę. Musiał użyć do tego obu rąk, a i tak nie przyszło mu to łatwo, klęknął i popychał ciało pod przypiekającym z nieba słońcem, w dodatku nagrzewającym asfalt. Osobiście jestem przekonany, że zmarli nabierają wagi. Oni sami i nasza pamięć o nich... i pod jednym, i pod drugim względem nabierają wagi.

Na twarzy mojej żony były czerwone ślady. Kiedy identyfikowałem ciało, widziałem je wyraźnie, nawet na monitorze. Na końcu języka miałem pytanie do asystenta patologa, skąd się wzięły, ale sam się domyśliłem. Koniec lipca, rozgrzany asfalt... elementarne, drogi Watsonie. Moja żona zmarła, doznając porażenia słonecznego.

Wyzer wstał. Zobaczył podjeżdżającą właśnie karetkę. Pobiegł do niej, przepchnął się przez tłum, złapał za rękaw sanitariusza wysiadającego zza kierownicy.

– Tam jest kobieta – powiedział, wskazując palcem parking.

– Człowieku, my tu mamy dwie kobiety i jeszcze faceta na dodatek. – Sanitariusz próbował mu się wyrwać, ale Wyzer trzymał go mocno.

– To akurat nie jest takie ważne. Nic im się nie stało. A tej kobiecie tam, wręcz przeciwnie.

Ta kobieta tam nie żyła, jestem całkiem pewien, że Joe Wyzer dobrze o tym wiedział, ale wiedział też, co jest ważne, a co mniej. To mu trzeba przyznać. Okazał się tak przekonujący, że dwaj sanitariusze oddalili się od karetki i miejsca wypadku, chociaż Esther Easterling krzyczała z bólu, a grecki chór zagrzynał protestem.

Podeszli do mojej leżącej żony. Pierwszy sanitariusz potwierdził podejrzenia Joego, a drugi powiedział:

– O do diabła! Co się jej stało?

– Najprawdopodobniej serce – powiedział pierwszy. – Przejęła się i serduszko nie wytrzymało.

Ale to nie było serce. Sekcja wykazała tętniak mózgu, z którym żyła, nic o nim nie wiedząc, może nawet aż pięć lat? A kiedy biegła przez parking na miejsce wypadku, osłabione naczynie w korze mózgowej strzeliło jak dętka, zatapiając ośrodki we krwi i w ten sposób ją zabijając. Śmierć nie była zapewne natychmiastowa, powiedział mi asystent patologa, ale nastąpiła szybko... i bez cierpień. Niczym eksplozja wielkiej czarnej nowej, pochłaniająca wrażenia i myśli, nim ciało uderzyło o asfalt.

– Może mógłbym w czymś pomóc, panie Noonan? – spytał doktor. Odwrócił mnie delikatnie od obrazu nieruchomej twarzy i zamkniętych oczu, wyłączył monitor. – Ma pan może jakieś pytania? Odpowiem, jeśli potrafię.

– Tylko jedno.

Powiedziałem mu, co moja żona kupiła w aptece tuż przed śmiercią. A potem zadałem pytanie.

• • •

Dni poprzedzające pogrzeb i sama uroczystość pogrzebowa pozostały w mej pamięci niczym sen. Najlepiej pamiętam tę chwilę, kiedy zjadłem czekoladkę i płakałem... przede wszystkim płakałem, bo wiedziałem, że jej smak wkrótce zniknie. Ataku płaczu dostałem znowu kilka dni po pogrzebie. Opowiem wam o tym wkrótce.

Ucieszył mnie przyjazd rodziny Jo, a zwłaszcza jej starszego brata Franka. To on, Frank Arlen – rumiany, zażywny, z bujnymi ciemnymi włosami – załatwił wszystkie formalności... nawet targował się z właścicielem domu pogrzebowego!

– Byłem przy tym, ale ciągle nie potrafię uwierzyć świadectwu własnych oczu – powiedziałem mu później, kiedy siedzieliśmy w łoży Jack's Pub, popijając piwo.

– Wciskał ci kit, Mikey. Nienawidzę takich ludzi. – Frank sięgnął do tylnej kieszeni spodni po chusteczkę i otarł nią czerwone policzki. Nie załamał się, żaden z Arlenów się nie załamał, a przy-

najmniej nie przy mnie, ale ciekło mu z oczu przez cały dzień. Wyglądał jak facet z ostrym zapaleniem spojówek.

Było sześcioro rodzeństwa Arlenów, z Jo jako najmłodszą i jedyną dziewczynką. Bracia traktowali ją jak maskotkę. Gdybym miał coś wspólnego z jej śmiercią, rozerwaliby mnie w pięciu gołymi rękami. Nie miałem, więc otoczyli mnie niewzruszoną opieką; było to doprawdy wspaniałe. Przypuszczam, że poradziłbym sobie jakoś i bez nich, ale nie mam pojęcia jak. Pamiętajcie, miałem trzydzieści sześć lat. Trzydziestosześcioletek nie spodziewa się chować żony, dwa lata od niego młodszej. Myśl o śmierci nawet nie powstała nam w głowie.

– Jeżeli facet wyciąga ci radio z samochodu, nazywają to kradzieżą i faceta zamykają – powiedział Frank. Arlenowie pochodzili z Massachusetts i mówili z akcentem ich rodzinnego Malden. W głosie Franka „faceta” brzmiało jak „faauceta”, „samochodu” jak „samochoda”, „kradzieżą” jak „kłaadzieżą”. – A jeśli pogrążonemu w żalu mężowi próbuje sprzedać trumnę wartą trzy stówy za czterysta pięćdziesiąt, nazywają to biznesem i zapraszają gościa do Rotary Club, żeby wygłosił mowę przed obiadem. Zachłanny dupek. Zaserwowałem mu niezły obiadek, nie?

– Owszem, niezły.

– Wszystko w porządku, Mikey?

– Jasne.

– Naprawdę?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? – spytałem go tak głośno, że w sąsiednich łóżkach odwróciły się głowy. A potem dodałem: – Była w ciąży.

Twarz Franka skamieniała.

– Co?

Zmusiłem się do ściszenia głosu.

– Była w ciąży. Sześć, może siedem tygodni, jak wykazała... no wiesz, autopsja. Wiedziałaś? Powiedziała ci?

– Nie! Chryste, skąd, nic a nic! – Ale przez moment wyglądał dziwnie. Coś musiała mu powiedzieć. – Wiem, że próbowaliście, oczywiście... mówiła, że masz małą ilość plemników, że to może kosztować was trochę czasu, ale zdaniem doktorów prędzej czy

później... prawdopodobnie... – przerwał. Wpatrzył się w swe dłonie. – Oni potrafią to powiedzieć? Sprawdzają?

– Potrafią to powiedzieć. Czy sprawdzają automatycznie, tego nie wiem. Poprosiłem o sprawdzenie.

– Dlaczego?

– Kupiła nie tylko inhalator. Także jeden z domowych testów ciążyowych.

– Po prostu chciała być pewna. To wszystko. Wiesz o tym, prawda?

„Wykupić przedłużoną receptę na inhalator do zatok”, powiedziała mi, a potem wspomniała o kawałku ryby. Wyglądała jak zawsze. Kobieta mająca do załatwienia parę drobnych spraw. Próbowaliśmy z dzieckiem od ośmiu lat, a ona wyglądała jak zawsze.

– Jasne – powiedziałem. Poklepałem Franka po dłoni. – Jasne, stary. Wiem.

. . .

To Arlenowie dowodzeni przez Franka zorganizowali pożegnanie Johanny. Moim zadaniem, jako jedyne go pisarza w rodzinie, było przygotowanie nekrologu. Brat przyjechał z Wirginii, przywożąc naszą matkę i ciotkę. Oddano mu pod opiekę księgę kondolencyjną przy wystawieniu zwłok. Mama, w wieku sześćdziesięciu sześciu lat prawie całkiem zdziecinniała, chociaż lekarze nie nazwali tego alzheimerem, mieszkała w Memphis ze swą o dwa lata młodszą siostrą, zaledwie odrobinę mniej zwariowaną. Ich zadaniem było krojenie tortu i ciast na stypie.

Wszystkim innym zajęli się Arlenowie, od wyznaczenia godzin pożegnania po szczegóły ceremonii. Frank i Victor, najmłodszy z braci, wygłosili krótkie mowy pogrzebowe. Ojciec pomodlił się za jej duszę. Na końcu Pete Breedlove, chłopiec, który w lecie kosił nam trawę, a jesienią zmiatał liście, doprowadził wszystkich do łez, śpiewając *Jak błogo wiedzieć*, zdaniem Franka ulubiony hymn Jo, kiedy była małą dziewczynką. Jak Frank znalazł Pete'a i jak skłonił go do zaśpiewania na pogrzebie, nigdy się nie dowiedziałem.

Jakoś przez to przeszliśmy, wtorkowe popołudnie i wieczór na wystawieniu, środowe poranne nabożeństwo pogrzebowe, krótka

modlitwa na cmentarzu Fairlawn. Najlepiej pamiętam, że myślałem o tym, jak strasznie jest gorąco, jaki jestem zagubiony, bo nie mogę nawet porozmawiać z Jo, i że powinienem jednak kupić nowe buty. Gdyby tu była, moja żona zagadałaby mnie na śmierć za te stare.

Potem rozmawiałem z bratem Sidem o tym, że musimy coś zrobić z naszą matką i ciotką Francine, nim obie znikną na zawsze w Strefie Mroku. Są za młode na dom opieki, więc co proponuje?

Zaproponował coś, ale niech mnie diabli, jeśli wiem co. Pamiętam, że zgodziłem się z jego opinią, ale nie mam pojęcia, jaka to była opinia. Potem, jeszcze tego samego dnia, Sidy, mama i ciocia Francine wsiedli do wynajętego samochodu. Mieli pojechać do Bostonu, przenocować tam, a rano złapać Southern Crescent. Mój brat nie ma nic przeciw opiece nad ludźmi starszymi, ale nie chce słyszeć o samolocie, nawet kiedy ja płacę za bilety. Twierdzi, że na niebie nie ma pasów awaryjnych, na które może zjechać, kiedy zgaśnie silnik.

Prawie wszyscy Arlenowie wyjechali następnego dnia. Znow był upał, słońce gapiło się na ziemię z rozpalonego do białości nieba, pokrywając wszystko poświatą roztopionego mosiądzu. Ustawili się przed naszym domem, który stał się moim domem, na tle potulnie czekających trzech taksówek, banda wielkich niezdar ściskających jeden drugiego wśród mnóstwa toreb, żegnających się wśród uprzejmości wygłaszanych z tym ich akcentem z Massachusetts, przez który każde słowo wydawało się przedzierać jak przez mgłę.

Frank został jeszcze jeden dzień. Za domem zebraliśmy wielki bukiet kwiatów, nie tych upiornie pachnących, szklarniowych, kojarzących mi się nieodparcie z dźwiękiem organów, ale takich prawdziwych, które Jo zawsze lubiła najbardziej. Włożyliśmy je do puszek po kawie, które znalazłem w spiżarni, pojechaliśmy na Fairlawn i postawiliśmy na świeżym grobie. A potem tylko siedzieliśmy w palącym słońcu.

– W życiu nie spotkałem nikogo słodszeo od niej – przerwał milczenie Frank. Mówił dziwnym, stłumionym głosem. – Opiekowaliśmy się nią, kiedy byliśmy dziećmi. My, chłopaki. Nikt nie

miał prawa podskoczyć Jo. Możesz mi wierzyć. A jak ktoś próbował, obrywał, bo zasłużył.

– Opowiadała mi różne historie.

– Te dobre?

– Tak. Te naprawdę dobre.

– Będzie mi jej strasznie brakowało.

– Mnie też – powiedziałem. – Frank... posłuchaj... wiem, że byłeś jej ulubionym braciszkiem. Nie odzywała się do ciebie? Może po to tylko, żeby powiedzieć, że okres się jej spóźnia albo rano czuje się niewyraźnie? Nie wkurzę się.

– Nic z tych rzeczy. Słowo honoru. A czy rano czuła się niewyraźnie?

– Nie zauważyłem.

O to właśnie chodziło. Niczego nie zauważyłem. Pisałem, oczywiście, a kiedy piszę, to odlatuję, ale ona potrafiła rozpoznać trans. Dotarłaby do mnie, doprowadziła do rzeczywistości. Więc czemu tego nie zrobiła? Dlaczego ukrywała przede mną dobrą wiadomość? Nie chciała powiedzieć, póki nie była pewna? Całkiem prawdopodobne... ale jakoś to do niej nie pasowało.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spytał Frank.

– Dziewczynka.

Zaraz po ślubie wybraliśmy imiona. Już czekały. Chłopiec miał mieć na imię Andrew, dziewczynka Kia. Kia Jane Noonan.

• • •

Frank, rozwiedziony przed sześciu laty i samotny, zatrzymał się u mnie. Po drodze z cmentarza powiedział:

– Martwię się o ciebie, Mikey. Nie masz rodziny, która by ci pomogła w trudnych chwilach, a ta, którą masz, i tak jest daleko.

– Nic mi nie będzie – zaprotestowałem.

Skinął głową.

– Zawsze tak mówimy, prawda?

– My?

– Faceci. „Nic mi nie będzie”. A jeśli jednak coś nam jest, robimy wszystko, żeby ludzie się o tym nie dowiedzieli. – Spojrzał na mnie. Oczy ciągle miał wilgotne, w wielkiej opalanej ręce

trzymał chusteczkę. – Jeśli coś ci jest, Mikey, a nie chcesz dzwonić do brata... widziałem, jak na niego patrzysz... pozwól mi być swoim bratem. Jeśli nie dla samego siebie, to dla Jo.

– Jasne.

Doceniłem ofertę i szanowałem go za te słowa, ale wiedziałem też, że nie skorzystam. Nie dzwonię po ludziach z prośbą o pomoc. Nie dlatego, że tak zostałem wychowany, przynajmniej tak mi się wydaje, raczej dlatego, że taki już jestem. Johanna powiedziała raz, że gdybym się topił w Dark Score Lake, gdzie mamy letni dom, to prędzej cicho bym umarł piętnaście metrów od pełnej plaży, niż zadzwonił po pomoc. To nie sprawa miłości czy w ogóle uczuć. Potrafię je dawać i potrafię brać. Czuję ból, jak każdy. Chcę dotykać kogoś, chcę, żeby i mnie ten ktoś dotykał. Ale na pytanie: „Nic ci nie jest?”, nie umiem odpowiedzieć, że przeciwnie, jest. Nie potrafię prosić o pomoc.

Dwie godziny później Frank wyruszył na południe stanu. Zaskoczył mnie, bo kiedy otworzył samochód, zobaczyłem, że w odtwarzaczu ma kasetę z jedną z moich książek. Najpierw mnie objął, a potem zdumiał pocałunkiem w usta, przyzwoitym, mocnym cmoknięciem.

– A jeśli poczujesz, że musisz mieć towarzystwo, po prostu przyjedź.

Skinałem głową.

– I uważaj.

Znowu mnie zaskoczył. Połączenie upału i żalu sprawiło, że przez ostatnie kilka dni żyłem jak we śnie, ale te słowa się do mnie przebiły.

– Na co mam uważać?

– Nie wiem. Nie wiem, Mikey.

Frank, wielki facet, wszedł do małego wozu; wyglądało to tak, jakby go na siebie wkładał. Odjechał. Słońce już zachodziło. Wiecie, jak wygląda słońce pod koniec upalnego sierpniowego dnia... pomarańczowe i jakieś takie zgniecione, jakby niewidzialna dłoń przyciskała je z góry, jakby lada chwila miało strzelić niczym nązarty komar, zapaskudzić cały horyzont. No więc było całkiem tak. Na wschodzie, gdzie już panowała ciemność, zagrzmiało. Ale tej nocy nie padał deszcz, tylko mrok przyszedł szybko, ciężki

i duszący niczym koc. Mimo to usiadłem do procesora tekstu. Pisałem jakąś godzinę. Poszło mi nadspodziewanie łatwo, o ile dobrze pamiętam. Ale nawet jeśli nie, to, rozumiecie, przez jakiś czas miałem przynajmniej co robić.

• • •

Drugiego ataku płaczu dostałem trzy czy cztery dni po pogrzebie. Wrażenie, że to wszystko sen, nie chciało ustąpić. Chodziłem, rozmawiałem, odbierałem telefony, pracowałem nad książką, w dniu śmierci Jo w jakichś osiemdziesięciu procentach skończoną, ale przez cały czas wydawało mi się, że to, co się dzieje, dzieje się daleko od mojego prawdziwego ja, że mniej lub bardziej wszystko to sobie tylko wmawiam.

Mama Pete'a, Denise Breedlove, zadzwoniła i spytała, czy miałbym coś przeciwko temu, gdyby kiedyś w przyszłym tygodniu przyszła z dwiema przyjaciółkami i porządnie, od dziobu do rufy, wysprzątała tę wielką edwardiańską kupę kamienia, w której siedziałem teraz sam, jak ziarnko grochu telepiące się w puszcze wielkości tych dowożonych do restauracji. Zrobią to, oznajmiła mi, za sto dolarów na trzy, głównie dlatego, że kiedy ktoś odejdzie, trzeba posprzątać, że po śmierci robi się porządki w domu, nawet jeśli to nie w nim ktoś umarł.

Odparłem, że to świetny pomysł, ale zapłacę i jej, i osobom, które przyprzewodzi po sto dolców na łebka za sześć godzin pracy i że muszą się zmieścić w tych sześciu godzinach. Jeśli się nie zmieszczą, więcej i tak im nie dam.

– Panie Noonan, to o wiele za dużo – zaprotestowała.

– Może tak, może nie, w każdym razie tyle płacę. Zgoda?

Ucieszyła się. Tak, oczywiście, że tak.

Pewnie można było to łatwo przewidzieć, ale wieczorem w przeddzień spotkania odkryłem raptem, że chodzę po domu, dokonując czegoś w rodzaju inspekcji. Chyba nie chciałem, żeby te kobiety (a dwóch z nich w ogóle nie znałem) znalazły coś, co mogłoby zawstydzić którąś z nich lub mnie. Jak jedwabne majteczki Jo między poduszkami kanapy („Na ogół lepiej nam wychodzi na kanapie, Michael – zwróciła mi kiedyś uwagę. – Zauważyłeś?”). Jak puszki po piwie pod kanapą na dwie osoby stojącą na ganku. Albo

niesplukana toaleta. Nie potrafię wam powiedzieć, czego właściwie szukałem, zachowywałem się jak we śnie mającym pełną władzę nad mym umysłem. Jeśli o czymś myślałem wówczas jasno, to albo o zakończeniu powieści, nad którą pracowałem (psychopatyczny morderca zwabia moją bohaterkę do wieżowca, żeby ją zepchnąć z dachu), albo o teście ciężowym Norco, który Jo kupiła w dzień śmierci. Powiedziała mi, że ma już przedłużoną receptę na inhalator. Powiedziała mi, że kupi rybę na kolację. A w jej oczach nie było nic, co zwróciłoby moją uwagę.

• • •

Pod koniec inspekcji porządkowej zajrzałem pod nasze łóżko. Po stronie Jo leżała otwarta książka w tanim wydaniu. Od jej śmierci nie minęło wiele czasu, ale też niewiele domowych księstewek zakurzonych jest tak jak Królestwo Podłóżka. Jasnoszara warstewka, którą zobaczyłem na okładkach, kiedy wyjąłem książkę spod łóżka, kazała mi pomyśleć o twarzy i rękach leżącej w trumnie żony; Jo w Królestwie Podziemi. Czy w trumnie się kurzy? Z pewnością nie, ale...

Odeгнаłem od siebie tę myśl. Udawała, że już jej nie ma, ale przez cały dzień szukała sobie drogi powrotu jak prześladowany Tołstoja biały niedźwiedź.

Oboje z Johanną ukończyliśmy anglistykę na Uniwersytecie Stanu Maine, więc jak wielu innych (tak przynajmniej sądzę) zakochaliśmy się przy Szekspirze i cynizmie Edwina Arlingtona Robinsona, rodem wprost z jego Tilbury Town. Natomiast pisarzem, który nas najbardziej do siebie zbliżył, nie był jakiś poeta i esesista typu uniwersytecki pieścioszek, ale W. Somerset Maugham, starszy, wędrujący po świecie powieściopisarz i dramatopisarz o gadziej twarzy (chyba na każdej fotografii przysłoniętej chmurą papierosowego dymu) i sercu romantyka. Nie zdziwiło mnie więc, że książką spod łóżka okazał się *Księżyc i miedziak*. Przeczytałem ją jako późny nastolatek, nie raz, lecz dwa razy, żarliwie identyfikując się z postacią Charlesa Stricklanda, tyle że ja nie chciałem malować, ale pisać gdzieś tam na wyspach mórz południowych.

Za zakładkę posłużyła Jo karta z jakiejś zdekompletowanej talii. Otwierając książkę, pomyślałem o czymś, co powiedziała, kie-

dy dopiero się poznawaliśmy. Na zajęciach z dwudziestowiecznej literatury angielskiej, pewnie w 1980 roku. Johanna Arlen, drobna i wybuchowa, była wówczas na drugim roku, ja na ostatnim i chodziłem na dwudziestowiecznych Angoli tylko dlatego, że w końcowym semestrze miałem mnóstwo wolnego czasu.

– Minie sto lat i za słabość krytyki połowy dwudziestego wieku uzna się to, że uwielbiała Lawrence’a, a zignorowała Maughama.

Jej twierdzenie wzbudziło zdrowy, choć podszyty pogardą śmiech (oni wszyscy dobrze wiedzieli, że *Zakochane kobiety* to jedna z najwspanialszych napisanych kiedykolwiek cholernych książek), ale mnie to nie rozbawiło. Ja się zakochałem.

Karta włożona była między sto drugą i sto trzecią stroną. Dirk Stroeve właśnie się zorientował, że żona rzuciła go dla Stricklanda, Maughamowskiej wersji Paula Gaugina. Narrator próbuje uspokoić Stroeve’a. „Mój drogi przyjacielu, nie martw się. Ona wróci...”.

– Łatwo ci mówić – burknąłem pod nosem. Byłem w pokoju, który należał już tylko do mnie.

Przewróciłem stronę.

„Obelżywy spokój Stricklanda pozbawił Stroeve’a resztek cierpliwości. Ogarnęła go ślepa furia i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, rzucił się na Stricklanda. Ten, zdziwiony, zatoczył się, lecz był bardzo silny – nawet po chorobie – i w jednej chwili Stroeve, sam nie wiedząc jak, znalazł się na podłodze. »Ty zabawny karzełku« – powiedział Strickland”*

Uświadomiłem sobie, że Jo już nigdy nie odwróci strony, nie usłyszy Stricklanda nazywającego żalosnego Stroeve’a „zabawnym karzełkiem”. Moje myśli rozbłysły nagle tak jasno, że aż oślepiająco; była to chwila objawienia, bo wtedy właśnie pojąłem, że to nie błąd, który można jakoś naprawić, nie sen, z którego się obudzę, że Johanna naprawdę nie żyje.

Żal odebrał mi wszystkie siły. Gdyby nie to, że łóżko było tak blisko, upadłbym na podłogę. Płacemy oczami, tylko tak potrafimy płakać, ale tego wieczoru płakałem każdym porem ciała, każdym jego zakamarkiem. Siedziałem na brzegu łóżka, z zaku-

* William Somerset Maugham, *Księżyc i miedziak*, przekład Jadwiga Olędzka.

rzonym tanim wydaniem *Księżyc i miedziaka* w rękach, i zanosiłem się płaczem. Zaskoczenie, jak sądzę, było równe żalowi, bo mimo że widziałem ciało na monitorze wysokiej rozdzielczości i zidentyfikowałem je, mimo pogrzebu, mimo odśpiewanego przez Pete'a Breedlove'a słodkim tenorem hymnu *Jak błogo wiedzieć*, mimo pogrzebu z jego „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” do tej pory tak naprawdę nie wierzyłem. Paperback Penguin dokonał tego, czego nie mogła dokonać wielka szara trumna: wpart we mnie, że moja żona nie żyje.

„»Ty zabawny karzełku« – powiedział Strickland”.

Położyłem się, ukryłem twarz pod skrzyżowanymi przedramionami, ukołysałem się do snu własnym płaczem, jak to robią małe, nieszczęśliwe dzieci. I miałem straszny sen. W tym śnie obudziłem się, zobaczyłem książkę *Księżyc i miedziak* leżącą przy mnie na narzucie i postanowiłem włożyć ją tam, gdzie znalazłem, pod łóżko. Wiecie, jakie pomieszane potrafią być sny, z ich logiką jak zegary Dalego, tak miękkie, że wiszą na gałęziach drzew niczym zarzucone na nie do trzepania dywaniki.

Włożyłem kartę zakładkę między strony sto dwa i sto trzy, za ledwie mały ruch palcem wskazującym od „»Ty zabawny karzełku« – powiedział Strickland”, teraz i na zawsze, przeturlałem się na swoją stronę, zwiesiłem głowę, żeby odłożyć książkę dokładnie tam, skąd ją wziąłem.

Pod łóżkiem, wśród kłębków kurzu, leżała Jo. Zwisająca ze sprężyny pajęczyna pieściła jej policzek jak piórkiem. Rude włosy straciły swój połysk, ale w bladej twarzy błyszczały ciemne, przytomne, złe oczy. A kiedy przemówiła, wiedziałem, że śmierć przyprowadziła ją o szaleństwo.

Daj mi to – syknęła. Daj mi to, co tak łapie kurz.

Wyrwała mi książkę z ręki, nim zdążyłem spełnić jej polecenie. Przez chwilę nasze palce stykały się, a jej były zimne jak gałązki po nocnym przymrozku. Otworzyła *Księżyc i miedziak*, karta sfrunęła na podłogę. Położyła sobie otwartą powieść Somerseta Maughama na twarzy, welon słów, a potem skrzyżowała dłonie na piersiach i znieruchomiała. Uświadomiłem sobie, że ubrana jest w niebieską sukienkę, w której ją pochowałem. Wyszła z grobu, by ukryć się pod naszym łóżkiem.

Obudziłem się ze stłumionym okrzykiem i sprawiającym ból drżeniem, które omal nie zrzuciło mnie z łóżka. Nie spałem długo, policzki miałem wilgotne, powieki naciągnięte – takie uczucie ma się po długotrwałym płaczu. Sen wydawał mi się tak prawdziwy, że po prostu musiałem zwiesić głowę z łóżka, zajrzeć pod nie i nie wątpiłem, że zobaczę ją tam leżącą z książką na twarzy, że wyciągnie rękę, zechce dotknąć mnie zimnymi palcami.

Oczywiście niczego nie zobaczyłem, sny to w końcu tylko sny. Ale resztę nocy przespałem na kanapie w gabinecie. Chyba był to dobry wybór, ponieważ tej nocy już nie śniłem. Tylko nicość jest dobrem we śnie.